Nr. 19. Rok II.

We Lwowie 12. Maja 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:

W miejscu rocznie: 12 zł. — na prowincji: 13 zł.

„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie 1 zł. 10 ct. w miejscu, a 1 zł. 15 ct. na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę zamiejscową przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

miejscową: Księgarnia Polska przy placu Halickim Nr. 14.

Od Administracji: Przypominamy tym pp. prenumeratorom, którzy do 1. maja zapłacili, o łaskawe odnowienie przedpłaty, jeżeli życzą sobie następne numera otrzymywać.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 20. „Ziarna“ wyjdzie d. 19. Maja 1883.

Nr. 19. We Lwowie dnia 12. Maja 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

(Ciąg dalszy).

VII.

Nikt sobie nie wyobrazi, jakie przerażenie zapanowało między młodzieżą, gdy najbliżsi przyjaciele pana Hilarego oznajmili innym kolegom, że ideał studentów zginął bez wieści.

W smutnym tym dniu wszystkie klasy były puste i profesorowie napróżno uczniów wyglądali: studenci na znak żałoby poszli do Moszka na gęś i miód, aby pospołu zastanowić się nad zdarzeniem, którego nikt nie rozumiał.

— Co się z nim stać mogło? z różnych stron pytano.

— Bóg wie jeden! Może się utopił, a może do wojska wstąpił.

— Furda! — krzyknął któryś ze starszych — on za mądry i za uczciwy ażeby się topił bez powodu.

— On zanadto Niemców nie cierpi — dodał drugi — ażeby dobrowolnie wstępował do wojska.

— Ja wam coś powiem pod sekretem, wtrącił trzeci — robiąc minę arcytajemniczą i palec do ust przykładając, na znak, że już z góry chce sobie zapewnić dochowanie tajemnicy.

— Cóż takiego?

Zapytany przysuwał się kolejno do kolegów i każdemu coś szeptał do ucha. Jedni głośnym parsknęli śmiechem, drudzy zamyślili się głęboko.

— Bardzo być może — zauważył jeden z najmłodszych. — Rojzy nie widziałem od wczoraj rana.

— Więc i ty za nią chodzisz?

— Chodzę, nie chodzę, ale ponieważ mieszkam niedaleko domu jej rodziców, więc rzecz naturalna, że ją często muszę spotykać. Hilcio bywał tam bardzo często, dziewczyna śmiała się do niego, łatwo więc być może...

— Dajcie pokój tym głupstwom! — zauważył głos nowy — i nie ubliżajcie ani jemu ani jej. Rojza poszła przedwczoraj zamąż za zyzookiego Herszka z Jarosławia, a kochany nasz Hilcio wyniósł się przed długami.

— Aha! — zawołali wszyscy i na tem skończyła się rozmowa.

Kolega, który wziął Rojzę w obronę, powiedział prawdę najświętszą. Hilcio żył niegdyś bardzo skromnie, ale odkąd zostawszy filozofem, został równocześnie królem studentów, idąc torami szlachty polskiej, począł robić długi, w czem mu był pomocnym ten sam Icek rudowłosy który go umieścił na „stancyi". Z początku lichwiarze pożyczali mu na procent wysoki, wszakże gdy pierwsze trzy miesiące minęły, a pan Hilary ani kapitału nie zwrócił, ani odsetków nie popłacił, runął od razu kredyt na kruchych nogach zbudowany i zaczęły się prześladowania ze strony żydów. Do ojca nie chciał pisać po pieniądze gdyż wiedział, z jakiem oburzeniem oszczędny staruszek przyjąłby taką wiadomość, a do swego przyjaciela hrabiego Leonarda wstydził się zgłaszać. W Hilciu tkwiła zawsze pewna duma, która do prośby nie pozwalała mu się zniżać.

W takiem położeniu, król studentów postanowił nareszcie ulotnić się z Przemyśla, co też uskutecznił.

Ale gdzie wyjechał pan Hilary?

Nad rozwiązaniem tej zagadki myśleli najwięcej właśnie ci żydzi, którzy mu pieniędzy pożyczali; po kilku zaś tygodniach, nie otrzymawszy żadnych wiadomości o zbiegu, postanowili wysłać kogoś umyślnie w okolicę, dla zasięgnięcia języka.

W owych czasach nie było jeszcze ani telegrafów, ani kolei żelaznych, to też uciekający przed długami, był pewny, że skoro pięć lub sześć mil ujedzie, wieść o nim na długie lata zaginie. Wiedząc o tem, lichwiarze zawołali Icka, a dawszy mu na drogę trzy srebrne cwancygiery, kazali szukać pana Hilarego.

Icek wyszedłszy za rogatkę, wyciągnął nos jak wyżeł.

VIII.

O kilka mil od Przemyśla, znajduje się miasteczko N., w którem pan mandatarjusz K., pełnił w owych czasach najwyższe obowiązki polityczne, sądowe i policyjne. Pan mandatarjusz był potężnym jak pasza, albowiem czternaście wiosek należało do jego „dominium“. W kancelarji pisało ośmiu aktuarjuszów, w czterech więzieniach siedziało trzydziestu obwinionych, a dwunastu „policajów“ stało z kijami przy tyluż ławkach, na których doraźnie wymierzano najwyższą sprawiedliwość.

W pierwszym pokoju, którego atmosfera była przepełniona dymem, buchającym z czterech długich cybuchów, siedziało czterech młodych ludzi. Jednym z nich był pan Hilary. Zbankrutowawszy w Przemyślu, biedny Hilcio oparł się aż w N. u pana mandatarjusza, który niesłychanie był uszczęśliwiony, że filozofa dostał do swojej kancelaryi.

Właśnie nasz przyjaciel wypalił szóstą fajkę i zreferował szósty *Bericht*, gdy pod oknem, przed którem siedział, coś nagle mignęło. Hilcio podnosi głowę, patrzy i własnym oczom nie wierzy, Na dworze koło furty, prowadzącej do ogrodu, przed domem, stoi Icek, powszechnie znany faktor z Przemyśla. Postrzegłszy, że pan Hilary głowę podniósł i w niego się wpatrzył, Icek mrugnął okiem, uśmiechnął się z zadowoleniem i skłonił uprzejmie, zdejmując czapkę do kolan. On już tak długo szukał zbiega, a znalazłszy go nareszcie w N. przeszło dwie godziny stał pod oknem prosząc Boga gorąco, by pan Hilary podniosł przecie głowę i raczył go zobaczyć.

Pan Hilary zobaczył go nareszcie, lecz na ukłon nie odpowiedział ukłonem. Najpierw zbladł potem zgrzytnął zębami, wreszcie usiadł przy stole i głowę wsparł na dłoni. Wiedząc, że żyd nie odważy się wejść do kancelarji, myślał długo jak wybrnąć z kłopotliwego położenia, a gdy nakoniec plan ułożył, zbliżył się do jednego ze swoich kolegów, pana Wawrzyńca, a wziąwszy go pod ramię, poszedł do drugiego pokoju gdzie długo z nim rozmawiał. Pan mandatarjusz był tego dnia na imieninach o trzy mile od N.

Po konferencji Hilary usiadł na dawnem miejscu, a pan Wawrzyniec kazał policjantowi, który stał przy drzwiach, sprowadzić natychmiast Icka do kancelarji.

Wielkie było przerażenie Icka, gdy wąsaty policjant wezwał go sucho a węzłowato, żeby niezwłocznie szedł za nim do kancelarji. Biedny żydek zawahał się i już chciał umknąć, ale policjant w czas go za kraik przytrzymał i przymusowo do biura odstawił.

Pan Wawrzyniec przybrawszy minę arcyurzędową, zaczął z Icka ciągnąć protokół, wypytując go o miejsce urodzenia, wiek, zajęcie i miejsce teraźniejszego pobytu. Icek chciał najpierw wmówić w pana Wawrzyńca, że pochodzi z N., ale w czas się przekonawszy, że pan Wawrzyniec zna w N. najmniejszego nawet żydka, uznał za rzecz niezbędną, przyznać się do istotnego swego nazwiska! Na kikakrotne zapytanie, po co przyszedł z Przemyśla, nie dał jednak żadnej odpowiedzi.

Podczas tej indagacji, która dosyć długo trwała, Icek zbliżał się ciągle do stolika, przy którym siedział pan Hilary, pragnąc znaleźć u niego pomoc i obronę. Hilcio siedział atoli nieporuszony, jak mumja i obojętnie spoglądał przez okno.

Skończywszy protokół, pan Wawrzyniec napisał coś na kartce, potem przywołał z sieni policjanta i oddając mu Icka rzekł:

— Ten żyd pójdzie do Przemyśla *ciupasem, als passloses Individium.*

Icek chciał protestować i opierać się; może byłby się nawet rzucił do nóg Hilaremu i prosił go o przebaczenie, ale nieubłagana sprawiedliwość, wezwawszy do pomocy rękę policjanta, wyrzuciła go do sieni, gdzie niezwłocznie rozpoczęła się smutna operacja.

Odsyłanie „ciupasem“ polegało na tem, że skazanemu na tę podróż przymusową, związywano ręce na plecach, do których przywiązywano sznur odpowiednio długi. Policjant lub wieśniak, odprowadzający szupaśnika, trzymał koniec tego sznura, aby w ten sposób zabezpieczyć się od możliwej ucieczki skazańca.

W owej epoce, każdy, kto bodaj o milę od swego miejsca pobytu znalazł się bez paszportu, mógł być w ten sposób odesłany do gminy, której był członkiem.

Biedny Icek wyruszył z głową zwieszoną, a gdy koło okna przechodził, spojrzał na pana Hilarego wzrokiem litości żebrzącym. Pan Hilary odpowiedział mu drwiącym uśmiechem. Ujrzawszy to Icek, zatrząsł się cały i straszliwie, chociaż cicho, zaklął po żydowsku.

Wypadek chciał, że gdy nazajutrz wieczorem Icek prowadzony przez chłopa, stanął u rogatki w Przemyślu, prawie ci wszyscy żydzi, którzy go wysłali, znajdowali się w tem miejscu na weselu u karczmarza Spostrzegłszy komiczną postać Icka, który nie mając rąk wolnych, nie mógł sobie ani pejsów, ani czapki, ani hałatu poprawić, mimo całego współczucia dla nieszczęśliwego posłańca, nie mogli wstrzymać się od śmiechu i nie jeden zawołał pokazując nań palcem:

— *Kik, kik Icek wus ist dus?*

IX.

W miesiąc po zdarzeniu właśnie opowiedzianem, u Moszka za miastem, znajdowało się dwudziestu filozofów, którzy jak według zwyczaju gęś zajadali popijając ją miodem. Było właśnie o północy i niektórzy byli już na wychodnem, gdy do izby w biegł jeden z kolegów i głosem urywanym zawołał:

— Wielkie nieszczęście!

— Cóż takiego? zapytali wszyscy zrywając się się z ławzk i stołków.

— Hilcia żydzi zabili!... Zamordowali!

— Hilcia?

A tak Hilcia,.. Lecz da Bóg jutra doczekać, musimy go pomścić!

Przerażeni studenci otoczyli kołem przybysza, a ten jak umiał, opowiedział smutną przygodę pana Hilarego.

Hilcio odesławszy Icka szupasem do. Przemyśla, pisał dalej *Berichty*, ku wielkiemu zadowoleniu pana mandatarjusza, który w nim już widział przyszłego męża najstarszej swojej córki, i kto wie czy w krótkim czasie nie byłby sam został mandatarjuszem, gdyby nie arcysmutny wypadek, który na dość długo oderwał go od studjowania kodeksów i *Verordnungów.*

Kilka dni temu pan Hilary wyjechał z N. do P... Miejscowość ta leży o półtorej mili od Przemyśla, a karczmę i rogatkę utrzymywał tamże ojciec tego samego Icka, który zrobił tak niefortunną wycieczkę po złote runo. Ślepy przypadek zrządził, że gdy Hilcio stanął przed karczmą, aby myto opłacić, Icek który tego dnia przyszedł ojca odwidzić, zobaczył go przez okno. Była właśnie niedziela i przed karczmą stało kilkudziesięciu wieśniaków. Icek przypomniawszy sobie krzywdę doznaną, w mgnieniu oka uknuł plan szatański. Podbiegł do najbliżej stojących dwóch urlopników i coś z nimi pogadał. Urlopnicy zachęceni przyrzeczoną nagrodą, skoczyli czemprędzej do wózka pana Hilarego i bez powodu wszczęli sprzeczkę z jego woźnicą. Podczas gdy to się działo na drodze, Icek agitował między pozostałymi wieśniakami. Hilcio prosił z początku chłopów, by się ustąpili i dali pokój jego woźnicy, lecz gdy to nie pomogło, wyciągnął z wózka cybuch, z którym nigdy się nie rozłączał, i najbliżej stojącego poczęstował dobrze po grzbiecie. Uderzony krzyknął wprawdzie z bolu i o

kilka kroków w tył odskoczył, lecz inni widząc to, rzucili się na wózek, a ściągnąwszy zeń pana aktuarjusza, niemiłosiernie go poturbowali. Najwaleczniejszym w tym ataku okazał się Icek. Kto wie na czem by się było skończyło, gdyby los szczęśliwy nie był sprowadził miejscowego proboszcza, który uśmierzywszy zapał chłopów i żydów, zabrał Hilcia na swoją bryczkę i odwiózł go do domu. W godzinę po tym wypadku, posłaniec był już w Przemyślu po lekarza. Od niego to dowiedział się opowiadający o tem zdarzeniu niemiłem.

— Więc Hilcio nie zabity! — krzyknęli wszyscy radośnie, gdy opowiadający mówić przestał.

— Prawda, że nie zabity, chociaż dla nas wszystko jedno, bo gdyby nie ksiądz byliby go pewnie zabili.

— Ma rację! — zawołano zewsząd chórem — trzeba łotrów przykładnie ukarać! Niech wiedzą, co studenci znaczą.

— Ukarać! Z dymem ich puścić!

— Dobrze dobrze — przemówił jeden ze starszych.

Coś trzeba koniecznie zrobić, ale ponieważ ani czas ani miejsce potemu, więc jutro o ośmej wieczorem zbierzemy się na „Wygodzie“. Tam zapadnie postanowienie. Tymczasem chodźmy spać a jutro zejdziemy się wszyscy!

— Wszyscy! Śmierć żydom!

Nazajutrz o godzinie umówionej do koła „Wygody“ roiło się jak w mrowisku, albowiem prócz filozofów i uczniów wyższych klas gimnazjalnych, pojawili się także studenciki ledwie dziesięcio i dwunastoletni, aby wspólnemi siłami przeprowadzić wielkie dzieło zemsty.

Zapał między zgromadzonymi był niezmierny.

Prócz wielkiej izby szynkownej „Wygoda“ miała jeszcze mały pokoik gościnny, stale przez studentów wynajmowany, który służył za salę konferencyjną i arsenał. Ilekroć miała zapaść ważniejsza uchwała, w pokoiku owym radzili najstarsi filozofowie i dopiero potem zawiadamiali o wyniku zgromadzonych w izbie szynkownej. W owym pokoju leżały także olbrzymie laski i palestry, będące jedyną bronią walecznej młodzi przemyślskiej. Dawniej klucz od tego sanctuarium nosił pan Hilary; teraz przechował go w swojej kieszeni pan Dyonizy.

Z powodu ciemności na dworze panujących, był to bowiem koniec listopada, nikt z jadących gościńcem nie byłby się domyślił, że „Wygoda“ mieściła w sobie tego wieczora kilkuset studentów, którzy zachowali się jak najspokojniej, by niczyjej nie zwrócić uwagi.

Konferencja starszyzny, trwała całą godzinę i następujące zapadły na niej uchwały:

1) Z pomiędzy studentów wybiera się stu najsilniejszych i najsłuszniejszych.

2) Trzej najroztropniejsi wyjdą naprzód na zwiady, by żydów przytrzymać aż do nadejścia całej armji, łatwo bowiem mogło by się zdarzyć, że żydzi wietrząc pismo nosem, wynieśliby się wcześnie z karczmy.

3) Aby pan *Kreishauptmann* nie mógł w niczem przeszkodzić, należy, bądź co bądź, sprowadzić jego syna, Maurycego, i zmusić go do wzięcia udziału w wyprawie.

Po jednomyślnem przyjęciu tej uchwały, która przez resztę kolegów, biorących udział w konferencji, miała być zachowaną w największej tajemnicy, pan Dyonizy wszedł do izby szynkownej i oświadczył, że wybrani powinni nazajutrz o godzinie szóstej rano zgromadzić się pod „Wygodą“, inni zaś zostaną w mieście i pójdą do szkoły.

Po wybraniu stu najdzielniejszych, reszta ze spuszczonemi nosami, a malce nawet z płaczem, poszli do domu, żeby na zajutrz zamiast maszerować na żydów, pocić się nad łaciną i niemieczczyzną.

(c. d. n.)

TROSKA POETY.

Muzo kapłanko wieszczych zapałów,
Mnie jednostajność twoja obrzydła!
I twoje tkane z eteru skrzydła
I twarze stare twych ideałów,
I jednobarwna pieśń twa jałowa,
I te odwieczne twoje ozdoby —
I zapleśniałych słowników mowa
W znanym gatunku dla każdej doby.
Nudzą mię perły twej etykiety:
Te wschodzącego słońca „purpury“,
Te szafirowych niebios „lazury“
I te „anioły ziemi“ — kobiety,
I te „niebieskie raju“ dziewice,
I „rozmarzone“ i „na wpół senne“
I te „świetlane“ i te “promienne“
I modrookie“ i „bladolice...“
I twarz „kochanka ziemi“ mięsiąca,
I te „brylantów nieba“ myrjady,
I kryształowe wrzące kaskady“
I ten twój „zefir, co listki trąca“
I epitetów nudnych obfitość,
I ta „urocza piosnka słowika,
Co to do głębi duszy przenika“
Och! jak przenika nie mów przez litość!
Już mi obrzydły kłamstwa o róży
I „wylęknionej gazelki zwinność“
I wymyślona „lilij niewinność“ —
Wszystko to dręczy mię dziś i mierzy.
Czyliż nie znajdę na całym świecie
Ja dźwięków nowych dla mojej pieśni?
Czyliż widnokrąg mój się zacieśni
W róży, w słowiku, w gwiazdce — w kobiecie?
Czyż wszystko pewną pójdzie koleją?
Czyż w tej bezdusznej świata przestrzeni
Wiecznie jednako płaczą, szaleją,
Czyż nic nie zginie, nic się nie zmieni?
Pytając, oczy wzniosłem do góry.
Nowych dla duszy szukałem wrażeń.
Nowych dla pieśni słów i wydarzeń...
I cóżem ujrzał? Chłodne „lazury“
Chmurek „kryształy“, obłoków „wieńce“
„Okrąg miesiąca“ w obłokach blady
„I brylantowych iskier myrjady“
I „zapłonionych zorzy rumieńce“...
Dość! Nie myślałem już czekać końca:
Konwencjonalnej wiatru przechadzki,
Ni klasycznego wstawania słońca,
Ni osławionej walki jednakiej,
Jego promieni zcieniami nocy,
Ni obudzonych ze snu skowronków,
Ni sielankowych pasterskich dzwonków,
Czekać nie chciałem — nie miałem mocy.

Mar. Boh.

Pierre Vaneau
i
POMNIK SOBIESKIEGO.

W kronice paryskiej Przegl. Pols. czytamy co następuje:

Zbliżający się obchód dwóchsetletniej pamiątki bohaterskiego czynu Jana III, odbił się silnie we Francji, silniej niezawodnie, aniżeli w chwili samego wypadku, którym się cieszyć zakazywał despotyczny Ludwik XIV; powód zaś podał do tego zbieg okoliczności zewnętrznych, który sprawił, że i francuska sława ma tu także pole do popisu. Rzecz jest taka: Jeszcze w 1880 r. p. Marius Vachon, jeden z najlepszych francuskich artystycznych krytyków odbywał z przyjacielem, swym malarzem, wycieczkę po prowincjach *Turaine* i *Velay*. Naturalnie głównie zwiedzali kościoły, gdyż w zacofanym partykularzu, one są jedynemi muzeami sztuki. W *Bonnet-le Chateau* w *la Chaise Dieu* i *Puy* uderzyły ich rzeźbione posągi świętych, bądź jako figury oddzielne, bądź jako grupy w bogatych płaskorzeźbach. Jedno dłuto wybitne powtarzało się w nich ciągle, a nie umiano dać im żadnych wskazówek, jakiego mistrza utworamiby one były. Po długich poszukiwaniach udało im się wykryć, że autorem tych cennych dzieł sztuki jest niejaki Pierre Vaneau, flamandczyk, którego najznakomitszem dziełem ma być nagrobek dla Jana Sobieskiego. Dotarłszy do tego szczegółu, poszukiwacze nasi zaczęli przetrząsać bibljoteki i archiwa i wykryli kilka ważnych

szczegółów, odnoszących się tak do samego artysty jak i do jego najważnieszych utworów.

Owocem tych długich poszukiwań, jest w sposób zbytkowny u *Charvay-frères* wydana książka p. t.: *La vie et l'oeuvre de Pierre Vaneau, sculpteur français du XVII siècle et le monument de Sobieski par Marius Vachon.* Z tej książki wyjmujemy szczegóły, które dla nas znaczenie mieć mogą.

Piotr Vaneau nie był wcale Flamandem ale Francuzem, gdyż urodził się w Montpellier 1653 r. Syn cieśli, oddał się rzeźbiarstwu i prawdopodobnie długi czas bawił w Rzymie. Po powrocie do kraju, zyskał opiekę margrabiego Armanda de Béthune, biskupa w *Puy* i na jego żądanie dokonywał roboty dla kilku kościołów. Fakt olbrzymiego historycznego znaczenia odsiecz Wiednia, wprowadził go na pole historyczne i pod wpływem wrażenia, jakie bohaterski ten czyn na ówczesny świat wywierał, Vaneau wykonał posąg dla Sobieskiego, mający przedstawiać gloryfikacją obrony Wiednia. P. Vachon utrzymuje że artysta dla wykonania tego przedsięwzięcia, bawił nawet dwa lata w Polsce i, że pomnik tam postawił, a tylko prawdopodobnie Moskale później zniszczyć go musieli, jak również, że pomnik ten obstalował dwór polski. Czy Vaneau był rzeczywiście w Polsce, o to spierać się trudno, gdyż piśmienne podania, jakie p. Vachon przytacza, nie rozstrzygają tego w sposób stanowczy; co do tego zaś, że pomnik ten był przez dwór polski zamówiony, pozwalamy sobie wątpić, gdyż Jan III o uwiecznianie sławy swojej, nie dbał wiele, a otaczający go o tem także nie myśleli. Również, żeby pomnik miał być wykonany przypuszczać niepodobna, zostałoby o tem bowiem jakiekolwiek wspomnienie, jak również milczeniemby nie pokryto, gdyby on miał być przez kogokolwiek zniszczony. Że nie był to także monument nagrobny świadczy o tem okoliczność, że artysta śmiercią swą wyprzedził króla bohatera, umarł bowiem 1694 roku. Przypuszczać więc ze wszechmiar należy, że dzieło Vaneau nie powstało wskutek jakiegoś zamówienia, ale wskutek dobrowolnej chęci artysty, natchnionego faktem wielkiego historycznego znaczenia. Przejdźmy jednak do samego pomnika.

Ponieważ pięć figur głównych, mających go zdobić, oraz wszystkie bareliefy, wykonane w drzewie, dokładnie się przechowały, na podstawie więc ich można sobie wyrobić dokładne pojęcie o całości. Podług tych dobrze zachowanych szczegółów, rekonstruował cały pomnik p. Edward Corroyer, a ponieważ rekonstrukcja jego wszystkie cechy prawdopobieństwa nosi, podług tego więc podajemy krótki opis pomnika

Cokół pomnika prostokątny miał być ozdobiony czterema płaskorzeźbami, z których dwie większe, każda na 2 metry i 45 cent. długości, a metr i 5 cent. wysokości przedstawiały: jedna porażkę Turków pod Wiedniem, druga wejście tryumfalne do miasta. Dwie zaś mniejsze, poboczne (l. 40×l. 05), jedna uwieńczenie Sobieskiego przez Pokój i Zgodę; druga portret bohatera w medalionie. Ponad cokołem wznosił się piedestał, ozdobiony czterema płaskorzeźbami i tyluż fryzami, przedstawiającymi symbolicznie zwycięstwo Orła polskiego i Krzyża nad islamem i półksiężycem. Po czterech rogach piedestału znajdują się cztery postacie, mające przedstawiać ludy nad którymi odniósł zwycięstwo Sobieski, mianowicie ma to być: Turczyn, Węgier Tatar i Moskal. Na wierzchu posągu postać Sobieskiego w zdwojonej naturalnej wielkości, przybrana w pancerz i bojowy strój starożytnych. Cztery płaskorzeźby większe, są dzisiaj własnością spadkobierców hr. Ksawerego Branickiego i znajdują się w zamku *Montrésor* (dep. Indre et Loire), jakim zaś sposobem tam się dostały, autor nie umie objaśnić. Płaskorzeźby mniejsze, oraz fryzy są własnością hr. de Chaumenils-Lacoste w zamku *Pradelles* (dep. wyżej Loary), a pięć figur są w posiadaniu p. Pruns i znajdują się w zamku *Brassac.*

Jeśli artysta nie był sam w Polsce, to przynajmniej musiał mieć wyborne materjały do utworzenia swojego arcydzieła. Świadczy o tem raz, po kilkakroć powtarzająca się postać Sobieskiego, która jest wszędzie portretowana, a po wtóre wykonanie *bas-reliefów,* gdzie historyczna ścisłość i współczesność zachowane są z całą wiernością. Wspominamy tylko płaskorzeźby większe. Batalia pod Wiedniem przedstawiona jest w całej swej żywości i ruchu. Na pierwszym planie wyraźny bohater Polski, na czele wojsk chrześcjańskich, obok niego syn jego Jakób, książęta niemieccy i z tyłu, jako tło, roty pancernych i husarzów. Naokoło wiersz łaciński:

Castra licet triplici prostent circumdata Vallo
Hac via magnanimo ferro patet invia regi.

Druga płaskorzeźba, wejście do Wiednia, przedstawia Sobieskiego na koniu w koronie, obok niego królewicz Jakób ks. Lotaryński, ks. Waldeck, Jerzy Saski i inni. Żołnierze na dzidach niosą głowy tureckie, a ludność miasta rzuca się do nóg zwycięzcy. Wokoło napis łaciński:

Toto solus in orbe est
Qui velit, ac possit victis præstare salutem.

Co do płaskorzeźb bocznych, ważną jest rzeczą, że na jednej, przedstawiającej uwieńczenie Sobieskiego, jest on w stroju polskim, doskonale oddanym, na drugiej medalion, będący co się zowie wykończonym jego portretem. Podnim czyta się napis:

Divisque videbis
Permixtos heroas, et ipse videbitur illis.

Ponadtem Czas trzyma inny medalion, przedstawiający portret ks. Lotaryńskiego, pod którym jest napis:

Vires nec tempora virtus sustinent.

P. Vachon, krytyk poważny, któremu ze wszelkich względów wiarę dać można, utrzymuje, że ten pomnik Sobieskiego należy do najznakomitszych utworów sztuki francuskiej, a więc i ogólnej. My oryginałów wszystkich znamy, a dokładnie tylko zastanawialiśmy się nad starannemi ich reprodukcjami i uwagami naszemi nie wahamy się podzielić z łaskawemi czytelnikami. Przepyszną jest postać Sobieskiego, tem cenniejszą, że artysta utrzymawszy się przy historycznej ścisłości, nie wpadł w pospolitość, odtwarzając wiernie tuszę Sobieskiego, która współczesnym nie raz za przedmiot szyderstwa służyła. Jego Sobieski z zachowaniem zupełnego podobieństwa rysów jest figurą herkulesową, godzącą się znakomicie z pojęciem owego *fulmen Orientis,* który chcąc przewagę nad barbarzyńskim światem utrzymać, musiał odznaczyć się także potęgą fizycznej swej natury. Nadto postac bohatera, w rzymskie przybrana szaty, a umieszczona na dość wyniosłej wysokości, nastręczać musiała pewne niekorzystne na pierwszy rzut oka wrażenie. Artysta umiejętnie uniknął tego, zarzucając mu na ramiona płaszcz gronostajowy. Podobnież znakomitemi są w swoim rodzaju cztery nagie postacie, mające przedstawiać zwyciężonych. Jedna z nich tylko naśladująca zbyt wyraźnie Laokoona, powtórzeniem niemile razi, ale zato trzy pozostałe znamionują siłę, jaką tylko u Michała Anioła widzieć przywykliśmy.

Jeśli jednak pojedyncze figury potęgą swoją zaraz na pierwszy rzut oka uderzają, nie powiedzielibyśmy tego samego o płaskorzeźbach. Prawda, że gwar wojny, ruch życie, schwycone tu przepysznie, ale jeśli kompozycja wielkiemi zaletami celuje, to szwankuje dosyć jej wykonanie W rakursach (nie wiem czy polski język posiada właściwy termin na wyrażenie francuskiego technicznego *racourcis*) znać wielkie błędy rysunku i mimowoli przypuszczać można, że prawdopodobnie podług szkiców mistrza, części te jego pracy wykończali uczniowie lub pomocnicy. Jakkolwiekbądź dzieło Vane-

au jest znakomite i, jeśli nie będzie nas stać na odlanie jego w bronzie i postawienie na ziemi polskiej, to przynajmniej powinniśmy się zdobyć na gipsowe odlewy, które do muzeów francuskich już są zamówione.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy)

Jeszcze nie za późno — myślała — i można rzecz stłumić w zarodku. W duchu też dziękowała Opatrzności, z pomocą której w samą porę zdołała spostrzedz niebezpieczeństwo. Bo, że je ominie, nie wątpiła ani chwili — nadto ufną była w skuteczność swojej akcji wspartej doświadczeniem i rutyną. Przedewszystkiem postanowiła oczywiście podwoić odtąd czujność, i niejako obronnym wałem środków i środeczków otoczyć serce i główkę Małgosi przed zdradzieckim wtargnięciem tego niegodziwego niesumiennego bałamuta.

Zdrajca, bałamut niesumienny, to jeszcze najłagodniejsze były zarzuty, które mu w myśli ciskała na głowę nic nie domyślającego się Jędrusia. W oczy bowiem ani wyrazem twarzy niewydała nigdy, co się tam działo na dnie jej rozgoryczonego serca, przeciwnie była dlań słodką, uprzedzającą i czułą, jak za najlepszych czasów pobytu w Zrębach...

Za to Małgosia kobiecą przenikliwością, a może i przeczuciem zakochanego więc na wszystko wrażliwego serca, rychło zauważała, że względy, jakiemi się Jędruś cieszył dotychczas w oczach panny Karoliny, nieznacznie ustępowały miejsca niechęci; wyraźnej antypatji. W rozmowach poufnych od czasu do czasu wyrywało się teraz z ust nauczycielki także ostre słowo krytyki przeciw przedtem zwykle zachwalanemu i widocznie protegowanemu mentorowi Jasia, tyle plam wynajdowała co chwila na tem słońcu, że najobojętniejszemu nawet zdało by się to rażącem i musiałoby wywołać zdziwienie i zastanowienie.

Raz przyszło nawet do małego między niemi starcia, które w następstwie tylko bardziej utwierdziło pannę Karolinę w podejrzeniach, zniewoliło do tem pilniejszej baczności. Przyczyną nieporozumienia był wybór książ-k. Jędruś miał obowiązek dostarczyć im dzieł do czytania, które częścią zakupywał w księgarni na własność Wilskich, częścią wypożyczał w czytelni. Otoż był tego zdania, ku zadowoleniu Małgosi a które panna Karolina zrazu również podzielała, że młoda osoba powinna przedewszystkiem poznać dokładnie arcydzieła własnej literatury.

W dalszym dopiero ciągu dość czasu będzie przeczytać utwory cudzoziemskich mistrzów słowa. Stosownie do tego planu dzieła Mickiewicza, Krasickiego, Słowackiego, Syrokomli, Ujejskiego, E. lyego, z prozy Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, stanowiły zawsze jeszcze przedmiot wspólnej lektury. Nic dziwnego, że gorący i namiętny Słowacki najbardziej ulubionym był autorem Małgosi, panna Karolina także się nim czas dłuższy zachwycała — dopiero w ostatnich czasach zmieniła zapytrywanie swe, a niewiadomo czy dla opozycji, że i Jędruś zapałał się najbardziej ku namiętnej poezji ubóstwianego przez młodzież Juljusza, czy z obawy, aby pełne marzeń rozkosznych i miłosnego kolorytu dźwięki jego rymów, nie podsycały domniemalnych uczuć i wyobraźni dziewczęcia.

Z tej czy z owej przyczyny, dość że razu pewnego odebrała Małgosi z rąk tom Słowackiego.

Dziewczę wypatrzyło się na nią dużemi oczyma ze zdziwieniem.

— Wolałabyś czytać jaką powieść Wilkońskiej, lub Orzeszkowej, aniżeli te niedorzeczne chorobliwe plątaniny rymowane na pół zwarjowanego człowieka... A jeżeli już chcesz konieczne wierszy, to czytaj Musset'a, Lamartine'a, przynajmniej skorzystasz w francuskim języku.

— Słowacki niedorzeczny, warjat... ależ panno Karolino, czyż to się godzi w ten sposób wyrażać o tak wielkim geniuszu naszym! Zresztą, przecie zawsze sama pani nie miała dość słów uwielbienia dla jego cudownych poezji, a i pan Jędrzej...

— Co mi tam pan Jędrzej... niech pilnuje Jasia.. za co chleb je... aczkolwiek i jemu zdałby się jeszcze guwerner któryby nie jeden nonsens wybił z głowy zarozumiałego młokosa...

Małgosia spłonęła silnie, serce jej biło gwałtownie, usteczka drobne drzeć zaczęły. Dławiło ją w gardle, potrzebowała spłakać, lecz całą siłą utrzymywała się, bo panna Karolina badawczym, a zawiściąziejącem okiem patrzyła na nią. Po chwili wewnętrznej walki, dziewczę zebrało się na odpowiedź dość nawet rezolutną.

— Nie bronię pana Jędrzeja, bo nie zdołałabym skutecznie, zresztą on tego nie potrzebuje, dziwi mię jednak, za co utracił tak prędko wszystką łaskę panny Karoliny... W Zrębach, a i dłuższy czas tutaj jeszcze, było wcale inaczej...

— Proszę,.. proszę, co ja słyszę, jak to się ząbki przetarły pannie... Radzę jednak niezapominać, ile mi jest winną, i że dotychczas rodzice i opiekun nie zwolnili mnie z obowiązków nauczycielki panny Małgorzaty... — zawołała z gniewem, i wybiegła z pokoju zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi za sobą.

Teraz dopiero Małgosia zaniosła się rzewnym, serdecznym płaczem, tak bowiem przykrych słów nie słyszała jeszcze nigdy, przytem ogromnie zabolał ją zarzut szyderczy, zrobiony temu, który był już wyłącznym władcą jej serduszka i wyobraźni.

Panna Karolina wnet się opamiętała, że gniew porwał ją zbytecznie, a tego rodzaju konflikt mógł jeno spotęgować uczucia dziewczęcia. Więc po dobrym kwandransie wróciła, uspokojoną już Małgosię wycałowała, przepraszając niejako za to, że się chwilowo uniosła była i zwalając winę tego wyłącznie, na karb rozdrażnienia, spowodowanego migreną, która ją napada i często trapi w tym nieznośnym Lwowie .

(C. d. n.)

Głodny.

szkic

M. Albowa.

Newski Prospekt roił się od ludzi. Było to właśnie o tej porze dnia, gdy *fine-fleure* Petersburga, odbywa przedobiednią przechadzkę dla emocji. Tłum ludzi strojnych posuwał się po stronie ulicy, wystawianej na promienie słońca, na całej jej długości od rogu ulicy Litiejnej i Newskiego Prospektu do mostu Policyjnego, w postaci dwóch równoległych, naprzeciw siebie dążących kolumn; stąpając spokojnie, płynnie, powoli .,. Nie ujrzysz w tym tłumie zafrasowanych lub pracujących. Chyba gdzieś tam, skromnie i przekonywująco razem, migną mosiężne okucia safjanowej teki wpółukrytej pod lamowaniem futra jakiejś ważnej biórowej osoby, nie niższej rangi niż radcy nadwornego, lub wyżej, aż do rzeczywistego radcy stanu. Gdyby nie ta teka, kto by pomyślał, że taż sama osoba, należąca widocznie do rzędu lekkomyślnych starców, sądząc z jego figlarnego uśmiechu z jakim słuchał paplaniny idącego z nim pod rękę młodziutkiego jeszcze, bezwąsego oficera od ulanów, wpijającego się lubieżnie wzrokiem w każdą niebrzydką kobiecą twarzyczkę, — ktoby powtarzam pomyślał, że niesie może ona w tej chwili w swej głowie cały stos

projektów administracyjnych?... O tej porze Newski prospekt wygląda wesoło, świątecznie i swobodnie. O tej porze możesz iść tuż obok osób, których w innem miejscu i o innej porze nigdy nie spotkasz. Oto znany całemu Petersburgowi dwunastowerszkowy śpiewak, stąpający jak posąg komandora w dramacie Puszkina. Tam, znany też całemu światu literackiemu, chromający nieco gastronom, idzie pod rękę z niosącym przed sobą własny brzuch, niemniej znanym autorem krwawych dramatów historycznych, z wątłymi kosmykami opadającemi na kołnierz futra ogromnych włosów, w cylindze i pince-nez na zagiętym na podobieństwo papuziego dzióba, nosie... Tam, zupełnie już znakomity, rumiany i otyły z powierzchownością *commis - voyager'a*, autor tysiąca korespondencyj, nowel, monografij z bytu kaukazkiego, skandynawskiego, eskimoskiego, aleuckiego, brazylijskiego, polinezyjskiego, hotentockiego, i innych... Tam znów ciekawa gromadka figur o pomarszczonych kobiecych twarzach, w niebieskich spódnicach i kaftanach, z długimi warkoczami i wachlarzami w ręku — to chińczycy z poselstwa. Tam ... ależ niepodobna zliczyć tych wszystkich znakomitości! Wszystko to zarysowuje się na chwilę i znów niknie w pstrym kalejdoskopie inteligentnych twarzy, wykwintnych fryzur, eleganckich bakenbardów, szlifów oficerskich, wykrzykników, „a, dzień dobry, dokąd idziesz?“, czernionych brwi i kobiecych uśmiechów... Miejscami słychać mowę francuską, brzęczy pałasz oficera gwardji, krzyżują się spojrzenia i jaśnieją powitalne uśmiechy dwóch rozdzielonych przez tłum znajomych, przyczem szlak na czapce wojennej kiwa się, a błyszczący cylinder zatacza płynny ruch w powietrzu... Wszystko przyzwoicie, wstrzemięźliwie, jak przystoi. Wszystko tchnie harmonją, jednoczącą cały ten tysiączny tłum przyzwoitych ludzi w poczuciu własnej godności, będącej rezultatem zabezpieczonego bytu, zdrowego żołądka i pięknej pogody. I jeżeli w tym tłumie znajdzie się ktoś taki, który żywi się byle czem, i na to jeszcze nie zawsze liczyć może, — to kryje się wstydliwie, czując sam, że jest dysonansem..

Jeden taki człowiek był tam właśnie... O, t e n musiał koniecznie czuć, że jest dysonansem!

Szedł on od strony gmachu admiralicji posuwając się zwolna obok murów, których uparcie się trzymał, nie zwracając uwagi na okna magazynów, zatrzymując się chwilami i chroniąc pod daszek ganku, gdzie płynąca fala ludzi stawała się mniej gęstą. Postawszy trochę, ruszał dalej, tym samym wolnym krokiem, wlokąc się noga za nogą. Przy zbiegu ulic przyspieszał kroku, starając się zmięszać z tłumem, obchodząc i śledząc ostrożnie każdy ruch dojrzanego zdala policjanta... Rzeczywiście, na tle wykwintnej masy spacerujących, musiał się on wydawać nieprzyzwoitą plamą. Za sam ubiór możnaby go było zaprowadzić do cyrkułu. Na grzbiecie widać było coś takiego, co przypominało do pewnego stopnia marynarkę, która była zapewne w swoim czasie bronzową, ale teraz przedstawiała się jako same tylko łachmany. Nie w lepszym stanie znajdowały się też i pantalony, z lekkiego jasnoszarego kortu, które niegdyś należały może do jakiego eleganta; na prawem kolanie, silnie rzucała się w oczy zupełnie jasna, niebieska łata. Na nogach buty, z wyglądającemi palcami, rozlaziły się do ostatnich granic możliwości, a czapka na głowie stała się podobną do maślanego blina. Słowem trudno byłoby wymyśleć starzyznę bardziej lichą i obrzydliwszą od tej, która mu służyła za ubiór.

Fizjonomja tego obdartusa należała do tego nieokreślonego typu, który mógł dostarczyć szerokiego pola do przypuszczeń tyczących, się jego położenia socjalnego, począwszy od byłego lokaja, do dymisjonowanego urzędnika. Lat miał od 30 do 40. Zielonawo bladą i opiłą twarz pokrywał rzadki zarost, w postaci wąsików i brody koloru cielistego. Maleńkie oczy, wydawały się jeszcze mniejszemi z powodu szeroko wystających kości twarzy i chowały się głęboko w orbitach, patrząc z niespokojnym i drapieżnym wyrazem głodnego. Koniec nosa posiniał mu od chłodu. Często ruszał ramionami i dmuchał w swoje ogromne, czerwone ręce, wystające daleko z króciutkich rękawów ubrania, skąd widać było kraj brudnej różowej perkalowej koszuli, lub też często, chwytając się za piersi ze spadającemi na nią końcami starej włóczkowej chustki, okręconej około szyi, poczynał dusić się od głuchego, jak z beczki, zaziębionego kaszlu.

Wczoraj jeszcze miał palto, prawda, że nie lepsze od reszty ubrania, lecz zawsze mogło się utrzymać na plecach, a główna rzecz, że grzało. Wczoraj podczas nabożeństwa porannego, w przysionku cerkwi Zbawiciela na ulicy Siennej, zebrał około dziesięciu kopiejek jałmużny (stanął zdala od stowarzyszenia żebraków, które to miejsce sobie kupiło, i dla tego go nie wypędzano), a do południa drugie tyle zebrał od przechodniów. Pożywił się objadem, złożonym z chleba i wątróbki, za trzy kopiejki, z miski, i wstąpił do brudnego szynku na kanale obwodowym. Pozostałe pieniądze przepił w jednej chwili — i podchmielił się. Uderzyło mu do głowy i śmiertelnie mu się zachciało jeszcze się napić; na ulicy był mróz, a ciepłe powietrze szynku przyjemnie ogrzewało zziębnięte ciało i po wszystkich członkach rozlewało omdlenie... Palto zostało zdjęte i powędrowało za bufet, a zamiast niego na stole znalazło się nowe naczynie z ożywczym napojem. Pił więc i grzał się, grzał się i pił.., Następnie wszystko zmięszało się we mgle i nic już więcej nie pamiętał.

Pamiętał tylko, jak gdyby przez sen, jak tęgie ręce służącego bufetowego ujęły go pod pachę, podniosły ze stołka i prowadziły, a on chwiał się i powłóczył nogami, potknął się i o mało nie rozbił sobie twarzy o schodki, potem nagle uderzył go strumień mroźnego powietrza, też same mocne ręce z siłą wypchnęły go i zatrzasnęły drzwi, a on jak kłębek potoczył się w mrok i pustkowie ulicy. Nie miał już wtedy paltota i czuł ołów w głowie i nogach. Zapadł wieczór. On trzeźwiał powoli, a przytem i zimno poczęło go silniej przejmować. W kieszeni znów nie miał ani kopiejki. Śmiertelnie chciało mu się spać a zęby szczekały jak bęben wojskowy. Przycisnąwszy się do parkanu stał z godzinę, jeśli nie więcej, od czasu do czasu tylko zmieniając miejsce, i przez cały ten czas nic mu się nie dostało. Ulica była zupełnie pusta, przechodniów mało, a ci, którzy go mijali, szli pospiesznie, pędzeni przez zimno. Raz tylko zatrzymała się przed nim gruba i krótka figurka człowieka, w jonatkowym futrze, sądząc po chodzie wolnym i niepewnym zapewne podpiłego.

— Na nocleg, w imię Chrystusa...

Futro zatrzymało się i wpatrzyło się w niego, rozszerzając obok siebie delikatny bukiet alkoholu.

— Na nocleg? Ejże, kłamiesz! Ejże przepijesz!

Pomimo to jednak futro sięgnęło do kieszeni i, chwiejąc się, zaczęło wydobywać jakąś drobnostkę.

— Możeś ty szubrawiec jaki, albo co ... No, ale djabeł z tobą, dobrze. M-masz! Weź! wypij... bo my teraz sami wszyscy... tacy...

Lecz on już nie słuchał. W ręku jego znajdowała się cała dziesiątka, otwierająca mu wrota do szczęścia.

Noc tę przepędził w znajomym sobie przytułku nocnym, dosyć liberalnym pod względem paszportów, co było dla niego szczególniej ważne; w nim umieścił się ostatniemi dniami i ztąd go tam znano.

Dzisiaj nie miał jeszcze nic w ustach; a w żołądku, jak powiadają, przewracała się dziewiąta fala... Eh! zdałoby się palto! Czuł on, jak wilgotna odwilż ogarniała mu plecy i piersi ostrym i jednocześnie jakimś lgnącym chłodem, a wilgoć z chodnika, znalazłszy drogę przez szpary kamaszów, coraz bardziej nasycała szmaty, któremi miał obwiązane nogi.

A słońce świeciło jasno..,

Ćmiło mu się w oczach od tłumu, który go mijał. Pożądliwy, a jednocześnie roztar

gniony wzrok jego ślizgał się po tych wszystkich twarzach obojętnych, nie zwracających na niego uwagi. Od czasu do czasu na chybił-trafił, rzucał do kogoś półgłosem, stały swój frazes! „Na chleb, w imię Chrystusa", Lecz nikł on w chórze odgłosów ulicy.

Doszedł do rogu Newskiego Prospektu i ulicy Michajłowskiej. Na samym rogu, wyszedłszy tylko-co z najbliższego ganku, zatrzymał się jakiś pan naprzeciwko dorożkarza, z widocznym zamiarem najęcia go. Twarz pełna, rumiana i apatyczny wyraz wielkich szarych, oczu... To zapewne, bardzo dobry człowiek!

— Na chleb, w imię Chrystusa...

Pan ów rzucił łaskawym wzrokiem na łachmany proszącego i pulchną ręką z pierścieniami na palcach, slągnał do kieszeni od kamizelki.

Głodny poczuł, że mu w oczach pociemniało. Da napewno! I pewnie nie miedź..

Tamten siągnął ręką do drugiej kieszeni od kamizelki.

A może da całe dwadzieścia kopiejek, myślał głodny, a serce mu zamierało.

Lecz pan ów w tejże chwili zapiął palto kiwnął głową.

— Nie mam drobnych, kochanku... Dorożka! Do „Małego Jarosławca!"

Siadł i pojechał.

Głodny odprowadził go wzrokiem, jak odurzony, dopóki tenże nie znikł zupełnie.

Ruszył dalej.

„Boże, jakże mi się chce jeść! gdyby tak kieliszek wódki, drugi, trzeci... rozeszłoby się po wszystkich stawach! A potem porcję czego, kapuśniaku naprzykład dobrego, gorącego... O!!"

Zazgrzytał zębami.

„No i cóż, i cóż, gdyby każdy z tych przechodzących dał chociaż kopiejkę... Boże! ileżby to wyniosło! Tyle ludzi i gdyby każdy dał! I ten to oficer, i ta wystrojona dama z lokajem,.. A lokaj taki nadęty! Syty pewnie, bestja! Patrzaj, co za gęba. mało nie pęknie, a i zdrów, że drągiem go nie zabijesz! Widzisz go. pańskiego pieska niesie... Eh, wziął by go. szelmę i łbem o słup!.."

Przytulił się do ganku. A strojny tłum wciąż sunął, sunął obok niego bez końca. Tam ot idą dwaj panowie. Jeden wysoki, chudy starzec, z faworytami, siwy jak gołąb, drugi niższy, czarny, w złotych okularach; palto rozpięte a na kamizelce błyszczy gruba złota dewizka. Idą zrównali się. Obaj rozmawiają...

— ...ofiary naszego społecznego nieładu! I gdybyś pan przejrzał sprawozdania naszych zebrań ziemiańskich...

— Na chleb, w imię Chrystusa.,.

I jeden i drugi spojrzał na obdartusa, odwrócił się i szedł dalej.

— Od tych żebraków nie opędzisz się, doleciało do niego — nawet tutaj, na Newskim! I czego ta policja pilnuje?!

Więcej nie słyszał.

— Precz! gdzie leziesz?! zawołał nań lokaj w liberji, z złotym galonem i takąż kokardą u kapelusza, zjawiwszy się niewiadomo zkąd, rzucając się do otworzenia drzwiczek karety, która zatrzymała się przy chodniku a następnie obok niego, podtrzymując ubranie, stąpając niechętnie po zabłoconym chodniku malutkiemi nóżkami, obutemi w wykwintne jak cukierek trzewiczki, przemknęła do ganku okazała piękna młoda kobieta, tuląc twarz w puszystem futrze swojej bogatej salopy, krytej różowym aksamitem. Połą futra potrąciła zmięszanego obdartusa, otaczając go wonnym strumieniem jakichś wysoce delikatnych perfum.

Wszystko to było dziełem jednej chwili lecz w tej jednej chwili odbył się w nim cały proces moralny, Dawno już przywykł on do swoich łachmanów, czując ich niewygodę tylko z powodu złej ochrony od zimna. Lecz teraz, w tej chwili poczuł nagle, że jest obrzydliwym, nędznym, oberwanym żebrakiem, podobnym do kawałka błota, że wszyscy to wiedzą, lecz nikt nie zwraca na to uwagi tylko przez pobłażanie; że każdy, każdy bez wyjątku, nietylko z tego tłumu ludzi przyzwoitych, lecz i ten złocony sługus, co go potrącił przed chwilą, usuwając z drogi, nawet ten syty stróż, siedzący poważnie na ławce pod bramą — wszyscy, wszyscy oni, teraz, natychmiast, mają prawo odpędzić go, jak odpędzają jakiegoś obrzydliwego, parszywego psa, który tylko wskutek braku dozoru wcisnął się do miejsca publicznego spaceru, gdzie nie pozwalają niszczyć trawy i przyprowadzać psów i dokąd wstępu nie zabroniono tylko przyzwoicie ubranym: że sama jego obecność tutaj, o tej porze, na Newskim Prospekcie, obraża wszystkich. A tymczasem wszystko tonęło w oślepiającym blasku, błyszczało, płonęło, i tęczowemi barwy mieniło się na słońcu. I krzyż na ogromnej kopule Kazańskiego soboru, i najwyższy punkt na cerkwi Włodzimierskiej, i iglica na gmachu admiralicji, i śnieg i sople lodu na dachach i szyby w oknach szerokich ulic i podwórz, gdzie tylko ono zajrzeć mogło.

Kronika naukowa.

Ogólny rzut oka na postępy elektrotechniki.

przez C. K.

Elektryczność dzierży dziś bezwarunkowo berło postępu, wdarła się we wszelkie gałęzie praktycznego życia, w których coraz to nowe zastosowania znajduje. Zajmuje ona i pociąga ku sobie zarówno uczonych, jak i praktycznych mechaników, i konstruktorów, a przez olbrzymie skoki, jakie w codziennem życiu ostatniemi zrobiła czasy, zniewala każdego wykształconego człowieka, chociażby obcego zupełnie zagadnieniom naukowym i najmniej z naukami przyrodniczemi obeznanego, do zaciekawienia się i zapoznania się z tym najnowszym ruchem postępowym, którego skutki na każdym przejawiają się kroku.

Najogólniejszym, w oczy rzucającym się faktem, któremu elektrotechnika zawdzięcza ten szybki i płodny ruch naprzód, jest reforma zupełna w sposobach wytwarzania siły elektrycznej, jaka od niedawna — bo od dziesięciu lat zaledwie — uskutecznioną została.

Za lat parę nauka obchodzić będzie stuletni jubileusz odkrycia w fizyjologicznej pracowni Galvaniego — objawów powstającego strumienia elektrycznego. Elektryczność zatem dynamiczna nie jest bynajmniej tak nową, a stosy Volty i Bunsena, działanie prądów galwanicznych i ich zastowania są — względnie rzeczy biorąc — rzeczą starą. Otrzymywanie wszakże elektryczności drogą chemicznego działania na siebie związków w „stosie" czyli „baterji", jest zbyt kosztownem źródłem siły, ażeby te wytwórcze przyrządy mogły zapewnić elektryczności szerszy rozwój i ogólniejsze zastosowanie. Pierwsze te czasy techniki elektrycznej t. j. okres wywiązywania strumienia elektrycznego drogą chemiczną, są perjodem niemowlęctwa, lub — z punktu widzenia historycznego — historją starożytną. Następnie ma elektryczność swoje wieki średnie; jestto indukcja strumieni elektrycznych i magnetycznych, a bohaterami tej epoki są Faraday, Ampere i Rumkorff. Od czasu, jak pierwszy z tych mężów wypowiedział (1831), że: strumień elektryczny może być wzbudzonym przez magnes lub zwój skręconego drutu, któremu nadanym zostanie odpowiedni ruch, lub że odwrotnie, istniejący strumień może wywołać ruch mechaniczny części miękkiego żelaza; od tego czasu kwestja przeobrażenia jednej siły w drugą teoretycznie była rozwiązaną,

a podwalina przyszłego rozwoju elektrotechniki ufundowaną. Pozostawały wszelako jeszcze wielkie trudności do zwalczenia to też dopiero razem z rozwojem teorji jedności sił przyrody, z ustaleniem pojęć o przemianie sił i ich mechanicznym równoważniku, nastaje i dla nauki elektryczności okres historji nowożytnej, w którym teoretyczne czysto pobudki doprowadziły jednocześnie Siemensa i Wheatstonea (1867) do zaprojektowania przyrządów elektrodynamicznych, w których użycie siły mechanicznej wyradza napięcie elektryczne. Szczęśliwe usiłowania D-ra Pacinottiego (1860), a ostatecznie francuskiego mechanika, Belgijczyka rodem, Grammea (1870), skierowane ku temu, aby w sposób praktyczny zamienić skutecznie przerywane i zmienne strumienie na strumień stały i oznaczonym kierunku, pozwoliły w praktyce wyzyskać i zrealizować piękne pomysły Siemensa i Wheatstonea.

Dopiero z chwilą, gdy zbudowane na tych zasadach maszyny elektro-dynamiczne, w których ruch nadany krążkowi miękkiego żelaza, przeistacza się w elektryczną energją, rozwiązały kwestją łatwych, pewnych i bardziej korzystnych źródeł siły elektrycznej, prawdziwy postęp techniczny się rozpoczyna. Aby zrozumieć doniosłość postępu od stosu, w którym przez chemiczne spalenie cynku, otrzymywano słaby stosunkowo strumień do nowych elektro dynamicznych maszyn, poruszanych siłą pary — dość powiedzieć, iż względnie do ceny zużywanych materjałów i osiąganego przytem skutku, te ostatnie przyrządy są dwadzieścia przynajmniej razy korzystniejsze, t. j. że ta sama ilość i jakość pracy elektrycznej kosztuje drogą mechaniczną dwadzieścia razy mniej niż drogą chemiczną.

Pomimo to dziś jeszcze, w najlepszych dynamo elektrycznych przyrządach, zużytkowanie energii wiele zostawia do życzenia a „wydajność“ przyrządu, t. j. stosunek wytworzonej za jego pomocą energii (elektrycznej) do wydatkowanej na ten cel energii pierwotnej (spalanego węgla), jest jeszcze bardzo mierną. Najlepsze dzisiejsze „wzbudzacze“ elektryczności (generatory, dynamoelektryczne maszyny) wydają jedną dwudziestą tej energii, jaka zawartą jest w użytym na ich opalanie węglu. Motory i maszyny parowe okazują lepszą znacznie „wydajność“ utylitarną; niema więc dotychczas mowy o tem, aby elektryczne przyrządy wprost wyrugowały parę w jej zastosowaniach do wykonania czysto mechanicznej pracy. Przy obecnem jednak udoskonaleniu przyrządów „elektrodajnych“, mogą one szerokie znaleść zastosowanie tam, gdzie siła w formie elektrycznej właśnie energji specjalną pracę ma wykonać oświetlenie, galwanizowanie, telegrafja i t. p.) Nadto w takich wypadkach, gdzie pożądanemi są niektóre odrębne własności motorów, właściwe dynamoelektrycznym przyrządom, nietylko mogą one znaleść zastosowanie, ale jeszcze mają niekiedy pierwszeństwo, a nawet znaczną wyższość nad motorami parowemi.

Zupełnie odrębną i li tylko elektryczności właściwa zaletą, niekiedy nadzwyczaj ważną i doniosłą, jest możność przenoszenia i rozprowadzania energii na dalekie choćby odległości za pomocą przewodnika. W razie potrzeby, możemy w sposób bardzo prosty korzystać w oddaleniu z elektrycznego napięcia przeprowadzonego po drucie, jako takiego, lub zużytkować tę z daleka płynącą energją, przeobrażając ją na światło, ciepło, dźwięk lub ruch.

Najwięcej zastosowania obiecuje chwilowo ta pierwsza przemiana: oświetlenie elektryczne z każdym dniem niemal się doskonali. Najnowszemi są jednak zastosowania z dziedziny dwu, na końcu wymienionych przemian: telefony wraz z mikrofonami i szeregiem innych tego rodzaju przyrządów, głos ludzki od bardzo niedawna na strumień i odwrotnie zamieniające; jeszcze nowszemi są projekty zastosowania elektryczności jako środka lokomocji.

Zatrzymamy się chwilowo nad rozpowszechnieniem oraz udoskonaleniem telefonów i innych akustyczno-elektrycznych przyrządów, aby następnie przedstawić najnowsze usiłowania, poczynione w kierunku zużytkowania strumieni elektrycznych do kierowania balonami, oraz do prowadzenia pociągów na drogach żelaznych.

Telefon w ciągu ubiegłego roku zyskał prawo obywatelstwa we wszystkich pięciu częściach świata. Prym trzyma Ameryka północna, gdzie wiele miast — a naczelne miejsce zajmuje Chicago — liczy po 2 do 3 tysięcy abonentów, a rozmowa telefonowa weszła do trybu życia, praktycznie życie biorących jankesów. W drugiej linji idzie Anglja, w której kupieckich i portowych miastach rozwój sieci telefonowej obiecuje przybrać rozmiary amerykańskie. Za wielką Brytanją idzie Francja i inne państwa Europy, a zaszczytne miejsce przynależy tutaj Paryżowi, tak ze względu na znaczną ilość abonentów (3000, z tych około 700 przybyło w ciągu roku 1882), jak i na ogromną długość razem wziętych drutów pomiędzy abonentami i biurami (3500 kilometrów!). Drut sieci telefonowej w Paryżu jest podwójny, to znaczy, że cały strumień (tak idący jak i powracający) przechodzi po przewodniku metalicznym, gdy w większej części urządzeń telefonowych, tak jak w sieciach telegraficznych, rolę drugiego drutu gra ziemia i tylko połowa strumienia przebiega po drucie. Przebieg prądu w całości po linii metalicznej nadzwyczaj dodatnio wpływa na wyraźne, dokładne i prawidłowe funkcjonowanie telefonu, ale urządzenie takie jest bardzo kosztownem. Paryskie urządzenie biur i stacji centralnej, oraz przeprowadzenie całej podwójnej linji pod ziemią, w ściekach kanałów, jest wzorowe i przewyższa pod tym względem wszelkie inne podobne urządzenia Ameryki i Europy. Ale i pozostałe 3 części świata posiadają dziś telefony. Pod koniec ubiegłego roku (1882), Kalkuta z pomiędzy ośmiu lub dziesięciu miast Azji najwięcej miała abonentów (118) pozostawała jednak w tyle za Aleksandrją w Egipcie, która liczyła abonentów 132; zarówno Azją jak Afrykę wyprzedziła jednak Australja, gdyż w Honolulu, mającem zaledwie 10000 mieszkańców, abonentów, opłacających telefon w tym samem czasie było 189-iu.

Nietylko jednak w obrębie miast pojedyńczych zaprowadzono ten nowy środek porozumienia się ludzi. W Anglii, po procesach, wytoczonych telefonowym przedsiębiorstwom przez urząd pocztowy i długich następnie pertraktacjach, nastąpiła polubowna ugoda pomiędzy pocztą a jednem z towarzystw, które nabyło za opłatą ogromnego haraczu prawo połączenia kilku miast między sobą, lecz wyłącznie na użytek ośmiu tylko w każdem mieście abonentów. Ograniczenie to, oraz wysoka opłata (za połączenie Glasgowa z Edymburgiem 650 Łstg., czyli przeszło 6500 rubli, Glasgowa z Grenockiem 220 Łstg. rocznie i t. p.), którą ponoszą interesowani przemysłowcy i kupcy, posiadający w kilku różnych miastach swoje zakłady, — mają na celu zabezpieczenie poczty od strat przez użycie telefonu wynikających. Pobierając te, tak niesłychanie wygórowane wynagrodzenia, poczta dozwalała używać towarzystwu telefonowemu z należących do niej słupów telegraficznych, na których wszakże specjalne druty towarzystwa do obsługi telefonu zakładane być mają. Przy takich odległościach, jak z jednego miasta do drugiego, na jakich telefon ma działać i dostateczną wyrazistość w przenoszeniu dźwięków okazywać, linja musi być całkowicie metalową, t. j. druty podwójne. Przy aparatach na stacjach umieszczone są cewki indukcyjne; strumień więc, wywołany głosem mówiącego w przesyłaczu, nie przechodzi na linja, lecz cała komunikacyjna linja podwójna tworzy oddzielny, zamknięty łańcuch. Strumień pierwotny, po przejściu przez wewnętrzny zwój

cewki, odprowadzonym zostaje do ziemi; wzbudza on w zewnętrznym zwoju cewkowym strumień indukowany (wzbudzony), który przebiega w danym kierunku po drugie linji, przebiega przez zewnętrzny zwój cewki na stacji odbierającej i powraca po drugiej linji, w odmiennym niżeli szedł, kierunku. Przechodząc przez tę ostatnią cewkę, wzbudza (indukuje) w wewnętrzym jej zwoju strumień, który już bezpośrednio wchodzi do przyrządu stacyjnego, telefonu, z tym samym skutkiem, jak gdyby pierwotny prąd przesyłacza nigdzie nie przerywany, doń napływał. Skutkiem tego jednakże, iż linja podwójna drutów komunikacyjnych miedzy stacjami, stanowi oddzielny, zamknięty łańcuch metaliczny, w którym strumień „biegnie“ w jednym, a „powraca“ w odwrotnym kierunku, wpływy poboczne, wywoływane działaniem telegraficznych strumieni, działając odwrotnie na jednę i na drugą z linij telefonowych, wzajemnie się znoszą: indukowane strumienie, powstające jednocześnie w obu równoległych częściach jednego nieprzerwanego łańcucha, muszą się spotykać i wzajemnie się niweczyć. Dowcipne to urządzenie pozwala „telefonować“ zapomocą drutów, sąsiadujących z drutami, po których się jednocześnie „telegrafuje“.

W dziedzinie „telefonii“ ciekawem jest jeszcze udoskonalenie mikrofonu, skombinowanego z telefonem przez de Lochta a któremu wynalazca ten nadał nazwę „pantelefonu“. Przyrząd ten przenosi podobno najdrobniejsze nawet szmery z najsubtelniejszemi ich odcieniami na stosunkowo znaczne odległości i z tego względu służyć ma specjalnie w górnictwie do sygnalizowania wywiązujących się gwałtownie gazów. Przy napływie gazów, czy to sprowadzających eksplozją, czy też pociągających za sobą śmierć przez uduszenie, powstaje za wsze w kopalniach charakterystyczny szmer, który – gdyby był zawsze słyszany — mógłby przestrzedz i uprzedzić przezto trafiające się nieszczęśliwe wypadki. Wynalazca pantelefonu proponuje założenie przyrządów odbierających w podziemiach znajdującń się w odbudowie. Szmer pochwycony przez aparat, zostaje przeniesionym do przyrządu z rezonatorem, umieszczonego w biurach lub kancelarji nad ziemią i pantelefon zaraz poczyna „mruczeć“, zwracając uwagę osób w blizkości się znajdujących. Po rozpoznaniu bliższem, skąd alarm pochodzi, można zarządzić zaraz środki, zapobiegające nieszczęsnym wypadkom. Elektryczność zatem nietylko rozpraszając ciemności, może — w latarniach morskich i innych tego rodzaju przyrządach optycznych — oddać przysługi ludzkości, jako sygnał ostrzegający i upewniający, ale ona też przez umiejętne zastosowanie do akustycznego działania, może być zbawiennym sygnałem „samogadającym“ i „głosem“ o tem, co dzieje, ostrzegać.

Pocieszającym dla zwolenników postępu jest faktem, że taka sama nauka, której corazto nowsze zastosowania na coraz śmielsze i awanturnicze napozór wiodą nas drogi, — ta sama dostarcza nam broni i środków przeciw mnóstwu niebezpieczeństw, które łagodzi lub unicestwia.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Dokończenie)

Winni najpierw rodzice, potem społeczeństwo, że do rozwoju osobistych celów członkom niestarczyło odpowiedniego środka, potem dopiero członkowie, że dążąc do załatwienia własnych interesów nie uwzględniają zupełnie celu ogólnego. Względy prawne i moralne bywają skutkiem tego naruszone, a sprawiedliwość wymierza się ze stratą stron obu.

Społeczność traci członków — członkowie zaś zostają przemocą złamani w szkodliwych swych dążeniach. Obrazem takich stosunków jest powyższa nowela.

Obraz ten wybitnie rysuje się na tle ubóstwa nędzy i nepotyzmu wraz z rozpustą i pijaństem. Jaskrawo występują sceny w chacie Władkowej ciotki, gdzie się zbierało niekiedy towarzystwo złożone ze sług i lokai — bez służby.

Wtedy w pośrodku stołu zjawił się miedziany kociołek, napełniony alkoholicznym wyskokiem, a nad nim zwieszony na stósownym przyrządzie wielki kawał cukru. Z nad kotła wybuchał siny płomień palącego się spirytusu, oświecał ściany i wszystkie zakąty izby błękitnawym światłem i błękitnawą też bladość rzucał na twarze męskie i kobiece, które roztarganemi warkoczami otoczone, lub ocienione zmiętemi czapkami, skupiały się wszystie ku środkowi stołu i przybliżone ku sobie, ciasnym wieńcem otaczały kocioł, pochylając ku niemu coraz bliżej i z coraz większem zachwyceniem w oczach i uśmiechach przypatrując się lejącemu do kotła deszczowi grubych czerwonych kropel roztapianego cukru. Woń spirytusowa mocna, upajająca, zmieszana z bluszczowym deszczem łojowego kaganka rozchodziła się po izbie, cisza oczekiwania zapanowała przy stole, tylko czarki blaszane brzękały w bardziej niecierpliwych rękach, albo głos jakiś kobiecy zachichotał nagle, albo burknęło półgłosem wyrzeczone przekleństwo“. Iście rembrandtowski obrazek.

Takie tło całej powiastki: ciemne i niewesołe. W głębi jeno, na dalszym planie, niby za firanką wsunięty, ukazuje się świat, oświecony jasnym promykiem dobrobytu, wesela i uczciwości. Jest to życie w domu stryja Władka — cukiernika — życie spokojne i dość szczęśliwe. Ale o niem nie masz co więcej i powiedzieć.

Mówiąc o nieróżowej sielance, (bezwarunkowo najlepszej noweli z 4ch wyżej wymienionych) — nie możemy pominąć osobliwej własności autorki, w sposobie przedstawienia rzeczy. Orzeszkowa nie opisuje, przedmiotów, nie kreśli obrazów charakterów i sytuacji zupełnie realistycznie, jak są, jeno wyostrza je, podnosi o jeden stopień, zabarwia silniej, jaskrawiej, wyraziściej.

Da się to uzasadnić i przeprowadzić w każdej z powyższych 4ch nowelek, ale osobliwie w 1szej. Dla tago zdaje nam się z początku, że autorka inaczej widzi przedmioty niż my. „Powietrze u niej złote, od wieczornych świateł“, wzrok „pałający“ „namiętny“, niebo „liliowe“, powierzchnia czystej wody „zielonawa“, pole „od słońca złote“, okna „rubinowe“, Marcysia ma włosy „oguiste“, mgły poranne są „sine“, oświecone słońcem, ajery stoją „w ogniu“, ściana jaru „gorąco-różowa“ kołyska słońca „czerwona“, (zachód słońca). czoło starej kobiety „żółte“, meble w cukierni „czerwone“, nawet na szyję cukiernianego chłopca kładzie „czerwoną“ chustkę i t. d. A dalej. Osoby tej wyrażają się językiem śmiałym, dobitnym, bez omówień, bez ogólników: „Czemu sama nie przychodzisz do jaru? — pyta władca Marcysi — Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? Jeśli boisz się — toś głupia — bo wilki cię nie zjedzą, a jeśli drogi nie znasz — to kiedy z matką idziesz, lepiej oczy wytrzeszczaj“. I tak zawsze. Jak jaskrawo przedstawione są sytuacje — widzieliśmy w opisie orgij: Wogóle na wskróś oryginalne i wyborne są opisy scen wziętych z życia w tych niskich, ciasnych i brudnych domkach przedmieścia, dokąd się przebijać trzeba przez wąskie, pełne błota i śmieci podwórka. Ta pewna skrajność odzywa się i w strojeniu osób w łachmany i strzępy, albo w natłoku prześlicznych ozdób, jakiemi otacza piękne twarze. Jest to może trochę kokieteryjne usiłowanie wysunięcia przedmiotów okazywanych ze zwykłych ram obrazu, aby się nam jeno dobitniej przedstawił. Bądź co bądź stanowi to oryginalność kolorytu Orzeszkowej.

Rys ów w całej rozciągłości możemy zastosować do następnego obrazu — p. t. Daj kwiatek! Jak poprzednio z życia mało-

mieszczańskich chrześcian, tak tu treść wzięta z życia ubogich żydów. — Bohaterem jest mały dzieciak Chaimkie, wnuk ubogiej łachmaniarki Chaity. Treść b. i bardzo uboga. Chaimkie włóczy się po Ongrodzie, spotyka piękną panią — z bukietem prześlicznych kwiatów. Zachwycony biegnie za nią, chwyta ją za suknię i tym sposobem zwraca jej uwagę. Dobra Pani pyta go, czego chce. Ale Chaimkie nie umie po polsku. Pani uczy go więc dwóch słówek prożby — i w nagrodę pojętności udziela mu pęk kwiatów. Chaimkie niezmiernie uradowany — myśli ciągle o skarbie swoim, a na noc, aby kto nie skradł, kładzie je pod poduszkę, kwiaty więdną i mną się, a dziecię zpoczątku rozpacza, potem zapomina, ale długo, długo wraca w chwilach ponętnych i gorzkich, widzenie dobrej, pięknej Pani — i nawet kiedy mu usiłuje wpoić nienawiść ku chrześcianom, staje anioł modlitwy i litości w postaci owej kobiety z nieodłącznem słowem: „Daj kwiatek". Oto treść cała. Użyła jej autorka tylko jako środeczek do przeprowadzenia tendencyjnej myśli. Chaimkie jest to dziecię przedewszystkiem b. ładne. „Czy uważaliście to państwo — że wszystkie bez wyjątku prawie dzieci izraelskiego plebsu, w pierwszych latach dzieciństwa bywają b. ładne! Potem stopniowo: twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się, z wyrazem gapiowatego osłupienia. Ale nie tylko ładnym jest Chaimkie. Ma on osobliwsze poczucie piękna, i niezwykle bujną wyobraźnię. Kiedy wieczór babka wróci z koszem łachmanów — dzieciak zatapia chciwie obie ręce w koszu. „Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! Świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką długą, falbaniastą suknię z liliowego muślinu. Suknia ta plam i dziur pełna, ale Chaimkie ich nie dostrzega. widzi on tylko piękny kolor liliowy i z otwartemi usty przygląda się zwikłanym gałązkom deseniu" i t. d. A kiedy zobaczył kwiaty „żywe wonne, świetne gorącemi barwami, operlone jeszcze srebrnemi kroplami rosy, drżał od niewymownego zachwycenia. Okrągłą twarzyczkę oblały ogniste rumieńce, czarne oczy iskrzyły się jak brylanty, a drobne usta, otwierały się zachwyconym uśmiechem". Obok tej wrażliwości i poczucia piękna — jest owe dziecko żydowskie b. dobre i roztropne, kiedy wieczorem wraca do chatki ze swej pielgrzymki po mieście, a babki jeszcze nie masz, wynajdzie zapałek, roznieca ogień w małej lampce i stawia ją na okienku, aby przyświecała krokom babki, gdy ona przebywać będzie podwórko". A gdy babka wróci, Chaimkie biegnie do niej, pomaga jej zdjąć z pleców ciężar jej, a następnie wyciąga ku niej rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub sera i woła: „Jedz, Babe!"

Słowem — czemże różnią się dzieci żydowskie od chrześciańskich. Chaimek jest ideałem dziecka — i nie różni się niczem. Dla czegoż więc żydzi mają tyle rysów odrębnych, i osobliwe skąd nienawiść, do ostatnich posunięta granic, której tłómaczem w noweli jest Reb Nochim. I znów spotykamy się ze społecznem zagadnieniem. Jak fizycznie zmieniają się dzieci żydowskie, brzydną, więdną b. szybko, tak i duchowo — rosnąc, kształcą się w swój sposób na wrogów chrześcian.

Winią przedewszystkiem społeczeństwo, które tak wyosobniło tę część swą, iż o równo uprawnieniu nie ma mowy. A wszakże nie podobna się nie zgodzić z autorką, która powiada o Chaicie:

„Zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią, a mną istnieje jedna wielka ścisła, nie rozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludnością. Krewna to więc moja — i wasza. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana pełna złoceń i ozdób, żaden, gest białej dłoni, pełnej pierścieni i wzgardy, nic nie mogą".

I gdyby społeczeństwo całe w takim stosunku stało do żydów, jak owa piękna pani, co obdarzyła żyda pękiem kwiatów — to żydzi pamiętni doznawanych odeń dobrodziejstw byliby inni. Winni też dalej sami starzy — którzy bezwzględnie nienawidzą wszystkich chrześcian za jednostki — odtrącają z pagardą nawet świadczone im dobre czyny — i nienawiść swoją, ciemną, brutalną usiłują przekazać pokoleniom następnym.

Tem dzieje się, iż Chaimków, obdarzonych zaletami — niegorszemi od wszystkich dzieci chrześciańskich, wytwarzają się jednostki, dla społeczeństwa szkodliwe, usiłujące dla własnych interesów wyzyskać siły produktywne społeczeństwa — i wchodzące tem samem w kolizje z ogólnymi jego celami. Dotychczas przebywaliśmy w sferze ubogich, niskich domków, graniczącej z nędzą i występkiem.

W „Złotej nitce" wprowadza nas autorka do innej sfery. Osobliwszego rodzaju jest rodzina Olińskich. Ojcem i gospodarzem jest były obywatel, który po sprzedaniu majątku żyje w Ongrodzie z procentu — i majątkowo składa się z ludzi poczciwych dobrych, choć przyłożyć do rany.

Mają oni wprawdzie właściwe wiekowi skłonności, jak np. — babka jest gderliwą, sam Oliński — gaduła i nudziarz, córka — pretensjonalna, gimnazjaliści — famfarony — ale cóż w tem złego? Żadnej osobie nie można przecie nic a nic zarzucić występnego. Bo i cóż występnego, co szkodliwego zawierać się mogło w spaniu, ubieraniu się, piciu, i jedzeniu do pory obiadowej? co w preferansie, bałamucie, sztukach zkartami i nożami, w sprzeczkach o żółtą i czerwoną różę, które napełniały porę poobiednią? W piciu, jedzeniu i gawędzeniu na których schodziły wieczory?" Pewnie występnego nic — tylko, że nic dodatniego, nic pożytecznego. Żadna z osób nie robi nic złego, ale też nic dobrego. Są to kompletne zera w społeczeństwie, nie stanowią ani pierwiastku ujemnego, ani dodatniego. Albo raczej stanowią ujemny, jeno bezwiednie — i pośrednie. Stanowią pierwiastek ujemny każda bowiem jednostka absorbując pewną dozę sił społecznych, musi produkować coś także. Skoro nic nie produkuje, krzywdzi tem samem inne jednostki, boć, albo powstaje w ciągłej równowadze produkcji społecznej szczerba, albo, celem utrzymania tej równowagi, inne jednostki muszą zużywać dwa razy, tyle sił własnych. Pewnej ilości społecznych trutniów musi odpowiadać pewna liczba pszczół — robotnic. Taką robotnicą w powyższej rodzinie jest żona Olińskiego Felicja. Jest to typ — dość częsty u Orzeszkowej — zupełnie podobny do Marcysi, jeno w innych wyrosły stosunkach. Kobieta wykształcona bardzo, inteligentna, głęboko wrażliwa, dobra — a przy tem wszystkiem jeszcze młoda i piękna — ze spokojną rezygnacją poddaje się swemu smutnemu losowi.

Felcia jest zresztą w rodzinie „kochaną, najdroższą, jedyną, złotą" — ale Felcia przyrządza wszystkim kawę, Felcia siada do bałamuta, jeśli nie ma odpowiedniej liczby osób, Felcia podaje stołeczek pod nogi babce, Felci nie wolno pomówić swobodnie, bo co chwila odbiegać musi to po ratafijkę do spiżarki, to po lekarstwo na ból zębów etc. A cóż ma ona dla siebie? Czytywać nie może: czasem chyba zrana pomiędzy wydawaniem objadu a nalewaniem herbaty, czasem wieczorem, pomiędzy poobiednim jedzeniem i zabawą, a wieczorną herbatą i najczęściej w nocy. Muzykę lubi namiętnie, ale pana Józefa — Olińskiego muzyka drażni — gra więc rzadko, chyba jak wszyscy wyjdą w niedzielę do kościoła.

Istota głęboka, tęskniąca do życia w innym świecie, niż ten, co ją otacza, stworzona do szczęścia, a w tłoczona okolicznościami w jarzmo ciężkich obowiązków. Wy-

robiła więc filozofię własną, która się godzi jakoś ze smutną dolą. „Godność osobista człowieka i szczęście jego — to przecie rzerzy o wiele różne. Otóż zdaje mi się — mówi — że bogaci w duchu są najdostojeńsi, a ubodzy najszczęśliwsi! „Wszystkim nam prawie — mówi gdzie indziej — coś, co nie jest wolą i wyborem naszym, podaje w ręce prząśnicę i wątek, z których snuć mamy długie pasmo życia. Pasma bywają różne. Moje jest szare“. Ale „nad szarą przędzą moją błysnęła złota nitka wysoko i wysoko pozostanie. Świeci mi z góry, jak promień słońca“ (str. 215). Tą złotą nitką — jest miłość. Felicja pokochała człowieka inteligentnego, wykształconego i głęboko myślącego. Łatwo wyobrazić takie położenie kobiety zamężnej.

Naturalnie musiała ukrywać i niczem nie zdradzić uczucia. Były naprzemian chwile ciężkie i jasne. Zresztą bliższe dzieje stosunku nie opisane, bo też o to nie chodzi.

Chodziło autorce o przedstawienie stosunku anormalnego konsumcji i produkcji i skutków zeń wynikłych. „Inteligencja w służbie u samolubów i próżniaków“ — a zdaniem autorki — w tem ukrywa się jedna z ważnych przyczyn smutnego ekonomicznego stanu, któremu, kraj nasz podlega. Dość ściśle wiąże się ze złotą nitką następna, najsłabsza z nowelek p.t. Zefirek. — Jest to sfera urzędnicza i szlachecka. Pretensjonalność i uprzedzenia rodowe podupadłej szlachty nie poparte przymiotami, ani majątkiem przedstawiają w istocie patologiczny objaw życia i sprowadzają katastrofę — w skutkach łamiącą życie następnego pokolenia. Widzimy tu dwie matki i dwie córki. Matki stare, jedna z nich pochodzi z zamożnego niegdyś domu, druga była żoną znacznego urzędnika. każda ma córkę. Córka prezydentowej (szlachcianki) ulega matce we wszystkiem i przesiąka jej wyobrażeniami; córka urzędnikowej staje się prostą robotnicą, wyrzeka się pretensjonalności matki, nosi wodę, rąbie drzewo, gotuje jedzenie, słowem staje się sługą niedołężnej i w strojach zakochanej matki. Obie stare pożyczają cały majątek swój krewnemu, który niby ratuje rodową godność, wistocie hula, oszukuje wierzycielki swoje i ucieka, a one pozostają bez środków do życia. Prezydentowa umiera, córka jej żyje z robótek; urzędnikowa nie pozwala córce swej iść za mąż za rzemieślnika; sama natomiast włóczy się za jałmużną, przypominając swe dawne miłosne sukcesa. Najgodniejsza litości jest Brygida, córka urzędnikowej. Idzie ona w służbę i marnuje się, między sługami — schodząc coraz niżej. Córki więc stają się nieszczęśliwe przez matki.

Śród tego świata zbutwiałego i cuchnącego starzyzną, a roszczącego pretensje do młodzieńczego życia — istota taka jak Brygida jedna rozumie smutną sytuację, jedna czuje, że życie jej zmarnowane. Jej też należy się więcej, ona pełna sił i młodości — i za krzywdę tę, jakie jej wyrządza to życie — pokutują nie postaci — ale pokutuje i ona, bo brak jej mocy, by się zeń wyłamać.

Już to świat kobiet u Orzeszkowej wielką nie odznacza się rozmaitością. Typ kobiety, posiadający dodatnie pierwiastki umysłowe — jednaki wszędzie. Marcysia, Felicja, Brygida, a nawet Chaita to jedne i te same postaci — w innych stosunkach i okolicznościach. Cała różnica w sferze

Ogólnym rysem takiej kobiety, jej wewnętrzna potrzeba, jej celem w życiu jest miłość. a uczucie to prawdziwe, ogarnia duszę i zabawia wszystkie czyny kobiety. nadaje kierunek jej życiu. Natomiast świat mężczyzn rzeczywiscie wielką celuje rozmaitością charakterów. Jest to zresztą naturalne. Główną myślą, celem Orzeszkowej jest tendencja społeczna, przedstawienie jakiejś wady w ustroju społecznym. Nic dziwnego, że mężczyźni, którzy stanowią właściwe ogniwa w łańcuchu życia socjalnego — że mężczyźni osobliwie ją zajmują. W patruje się w nich pilnie, chwyta rysy wybitne, śledzi ich rozwój i całość kosekwentną i wyrobioną.

Oceniając powyższe nowele miarą ważności kwestji rostrząsanej — pierwszeństwo przyznać trzeba noweli pt. Sielanka nieróżowa, ze względu na obrobienie artystyczne, ze względu na wyrazistość charakterów umotywowanie ich i sytuacji — nowela ta 1sze w zbiorku zajmuje miejsce. Słabsze są już następne. W nich też dotkliwiej czuć się daje zły stosunek osnowy do tendencji. Treść prawie niska np. w Daj kwiatek lub Złotej nitce. To też potrzeba wielkiej żywości i barwności, aby autorka nie stała się nużącą albo moralizującą. Dramatyczność leży tu przedewszystkiem w charakterach, najmniej w sytuacjach. Ten brak węzłów dramatycznych właściwy zresztą większości tendencyjnych romansopisarzy — stanowi wadę kompozycji Orzeszkowej. Okazuje się ona nierównie więcej w trzech dalszych nowelach, mniej w Sielance nieróżowej. Bądź co bądź — nowele te stanowią nowy niezbity dowód, że Orzeszkowa z pośród dzisiejszych romansopisarzy polskich — potrafi b. żywo odczuwać anomalje ustroju społeczeństwa polskiego, że się niemi interesuje i szuka na nie środków, zaradczych — któreby w społeczeństwie tem umożliwiły żywszy postęp i harmonijne działanie wszystkich zgodnie funkcjonujących sprężyn.

Antoni Mazanowski.

ZIARNKA.

Z pięknej powieści T. T. Jeża — zrobił się lichy dramat. Jest to los wszystkich przeróbek — mówiliśmy dawniej o tem obszerniej, dziś dowodzić tego nie potrzebujemy. Zwłaszcza Jeżowe powieści, które są tylko opowiadaniem, nie mają żadnej akcji ani intrygi nie nadają się bynajmniej do przerabiania na utwory sceniczne. Wszystkie zalety powieści, obrazy przyrody stosunków malowanego społeczeństwa — zniknęły, a pozostały tylko luźnie nieraz powiązane sceny pojedynczych ustępów opowiadania. Mimo to „Narzeczona Harambaszy“ utrzymać się może jako sztuka niedzielna.

Dyrekcja nie szczędziła kosztów na staranne wystawienie, sprawiając piękne oryginalne kostjumy południowych słowian. Artyści z danego materjału zrobili wszystko co mogli, i wywiązali się dobrze — najlepiej zaś, p. Żelazowski.

* * *

Lwowski uniwersytet ze sprawą utworzenia wydziału lekarskiego, możnaby porównać z Tantalem i jego wiecznem pożądaniem. Zgłodniałemu biedakowi mitycznemu zdawało się, że już, już ukąsi smacznego owocu, tymczasem one bujały nad jego głową, natrząsając się tylko z jego męczarni głodowych. Jota w jotę to samo z wydziałem lekarskim. Zdaje się, że już sprawa ubita, budżet uchwalony, już nie zachodzą żadne przeszkody — gdzie tam! wiatr jakiś wionie, i jak w podaniu starożytnych, konarami, tu ostateczną decyzją poruszy, i fakt utworzenia, jak owe jabłuszka ulecą gdzieś daleko, pozostawiając tylko ślinkę łaknącym. A przecież potrzeba wydziału lekarskiego przy uniwersytecie lwowskim jest rzeczą, której konieczności nawet dowodzić nie potrzeba. Wykazał to przemawiającemi datami Dr. Roszkowski na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej. Przytoczę tu najjaskrawszą, jak tę, że w Galicji znajduje się sześć powiatów, w których jeden lekarz przypada na przeszło dwadzieścia tysięcy! Cyfra mówi sama za siebie — komentarz upełnie zbyteczny.

Straszna powstała wrzawa w dziennikarstwie polskiem, gdy jakiś moskal przetłumaczył komedję jednego z naszych autorów i posłał ją na konkurs do Petersbusga, jako oryginalną. „Od morza do morza“ podniósł się okrzyk zgrozy — a za jednego plagjatora cały rosyjski świat literacki otrzymał nazwę... która wypływa z przekroczenia siódmego paragrafu dekalogu. Ale gdy u nas pojawiła się w fejletenie pewnego pisma, które tylko oryginalne prace w swym odcinku zamieszcza, nowelka, oryginalna, podpisana nazwiskiem autora, zresztą poważnego, która jest tylko lichem nawet tłómaczeniem prześlicznej nowelki umieszczonej w „Fliegende Blaetter“, tego nikt nie uważał za stosowne skarcić, a występek taki napiętnować, jak na to zasługuje. „Fliegende Blaetter“ jest pismem najpoczytniejszem u nas — dowiedzieć się zatem o plagjacie nie było trudno.

* * *

Artyści nasi zdobywają sobie coraz większy rozgłos zagranicą. Znany i w mieście naszem p. Stanisław Barcewicz, skrzypek, który we Francji, Szwecji święcił wspaniałe tryumfy, obecnie występuje na koncercie z wielkiem powodzeniem w Niemczech „Dresdener Ztg. porównuje grę jego z grą najsławniejszego skrzypka obecnie żyjęcego Pabla Sarasatego i powiada między innemi, że taniec hiszpański charakterystyczny numer popisowy Sarasatego, Barcewicz grał nawet lepiej od hiszpańskiego wirtuoza.

ZAPISKI.

Literatura.

* Józef Bliziński napisał 2-aktową komedję, która będzie w przyszłym sezonie wystawiona na scenie teatru krakowskiego — nie wątpimy, że i naszego.

* Autor p. Damazego napisał nowelę pt. „Baba“, która będzie drukowaną w „Przeglądzie literackim“.

* Opróżnioną przez śmierci śp. Józefa Szujskiego posadę sekretarza Akademji Umiejętności otrzymał prof. Dr. Stanisław Tarnowski.

* Najnowszy numer (19) „Wszechświata popularnego tygodnika warszawskiego poświęconego naukom przyrodniczym zawiera cenne prace jak: Fosforyscencja. Na zasadzie badań prof. Radziszewskiego przez Zn. — Ogólny rzut okana postępy elektrotechniki przez C. K. (ciąg dalszy) — Nowoczesna kosmogonja przez M. Siedlewskiego (dokończenie) Dalej następuje: Kalendarzyk astronomiczny. Sprawozdania. Kronika naukowa. Ogłoszenia. Jak widzimy treść pociągająca i nadzwyczaj bogata. Illustracje starannie wykonane. A jednak „Wszechświat“ nie cieszy się wielką liczbą prenumeratorów w Galicji; czemuż to przypisać jeżeli nie... apatji publiczności naszej.

* Poemat Byrona pt. „Beppo“ ukaże się wkrótce w tłumaczeniu Wiktora hr. Baworowskiego znanego tłómacza „ Child Harolda.

* Tygodnik powszechny rozpoczął druk powieści St. Grudzińskiego pt. „Lala“.

* Zawartą już została w Berlinie dnia 19. kwietnia b. r. konwencja literacka między Francją a Niemcami.

Teatr i muzyka.

* Z trupy włoskiej impresaria Mezellego występującej obecnie w Wiednin zdobyła sobie prymadonna signorina Turolla ogromną sympatję i uznanie publiczności wiedeńskiej.

* Znany komik wiedeński Knaak występuje gościnnie w Magdeburgu.

* Rodak nasz p. Stanisław Barcewicz dawał ostatniemi czasy koncert w Berlinie — przez recenzentów tamtejszych nadzwyczajnie chwalony.

* W paryskiej „Opera comique“ daną była 14 kwietnia b. r. po raz pierwszy opera trzyaktowa Deslibesa pt. Lakme — i doznała najlepszego przyjęcia.

* Ze słynnej na cały świat fabryki fortepjanów Bösendorfera, wyszedł w tych dniach tysięczny z rzędu fortepjan. Przy tej sposobności obchodzono uroczystością wygotowanie jubileuszowego instrumentu.

* Massenet' kompozytor pięknej „Herodjady' napisał nową operę komiczną pt, Manose Lescaut.

* P. Juljan Zakrzewski ukończył swoje występy gościnne w Warszawie i wrócił do Moskwy.

* Coquelin starszy przerobił znaną powieść Daudet'a „Les rois en exil“ na scenę. Sztuka ta wystawiona będzie na scenie teatru Vaudeville.

Sztuki piękne.

* Zaszczytnie znany podróżnik a nasz rodak **Przewalski**, który już od dłuższego czasu cierpiał na dokuczliwy ból oka, wybiera się obecnie w nową podróż naukową po Azji środkowej- Wyprawa uda się pod jego przewodnictwem celem zbadania gór **Tian Schan** poczem wyruszy do wnętrza Tybetu.

* W pierwszych dniach maja odbędzie się w Medjolanie odsłonięcie pomnika poety Alexandra Manzoniego.

* Z Weimaru donoszą, że w. książe nadał malarzowi rodzajowemu Ottonowi Piltgewi i malarzowi historycznemu Zygmuntowi Suchodolskiemu tytuł profesorów.

* W Wiedniu odbywają się obecnie dwie nader interesujące wystawy: historyczna ekspozycja przedmiotów z bronzu i **wystawa indyjska**. Ostatnia składa się oryginalnych przedmiotów, wykopanych przez dr. Leitnena, z odlewów wykonanych według oryginałów, znajdujących się w muzeum w Lahore i w South- Kensington — Muzeum, tudzież z fotografij, z których wnosić można o wielkim wpływie sztuki greckiej w Indji w epoce po Aleksandrowskiej.

* P. Marjan Gorzkowski, znany autor pisanych ilustracyj historycznych, a objaśniających treść obrazów **Matejki** wydał znów „objaśnienie“ do obrazu nowego „Sobieski pod Wiedniem“, z którego dowiadujemy się, że Matejko przedstawia w nim scenę oddania listu donoszącego o zwycięstwie posłańców do papieża kanonikowi Denhofowi. Na obrazie wyobrażony jest król na koniu, obok niego królewicz Jakób Po prawej stoi orszak niemiecki z kr. Lotaryńskim na czele, obok nich kardynał Wilczek i Hieronim Lubomierski, w tyle Stahremberg oprócz wielu innych postaci, których nie wymieniamy.

* Stany zjednoczone Ameryki północnej zamierzają w tym roku wysłać ekspedycję do bieguna północnego celem odszukania wyprawy popularnej z roku ubiegłego, która wyruszyła pod przewodnictwem porucznika **Grecly** i udała się w tym kierunku zatoki Lady Franklin aby tam założyć stację meteorologiczną. Koszta wyprawy oceniono na 350.000 funtów sterl.

* **Akademja rzymska** dei Virtuosi col Panteon“ ogłasza konkurs doroczny na obraz „Kuszenie Chrystusa na puszczy. Obraz ma być olejny na płótnie w formacie 0.90 m szerok i 0.70 m. wysokości O nagrodę i medal złoty 1000 frank. wartości ubiegać się mogą artyści każdej narodowości, katolicy Termin upływa z 30 kwietnia 1884.

* Rząd włoski zebrał za **karty wstępu** do muzeów opłacone najwięcej przez cudzoziemców w r. zeszłym 299004.75 lirów.

* W wiedeńskim Kunstvereinie powszechne budzi zajęcie najnowszy obraz Maxa przedstawiający Rzymską żebraczkę, u stóp grobowca Cecylji Metelli.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Wielki wybór pierścionków zaręczynowych.

Szpilek i pierścionków bukietowych.

J. DĄBROWSKI

przedtem **J. DĄBROWSKI & L. WEIGEL**

we Lwowie przy ulicy Halickiej liczba 17.
(dawniej „**W. PENTHER**".)

prócz ŻEGARKÓW i ZEGARÓW z najsłynniejszych fabryk, **otrzymał wielki zapas złotych i srebrnych rzeczy.**

Szczególnie zwraca się uwagę na **ZŁOTE ZEGARKI fabryki genewskiej**

L. W. GOSTKOWSKIEGO.

jakoteż WYPRAWY WESELNE ZE SREBRA, na 6 i 12 osób w szkatułkach. Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.

Obrączek ślubnych,

Jedyny skład na całą Galicyę maszyn grających

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,
wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets),
wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,
Płótna i stołową bieliznę.
Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek

poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

DO SIEWU!

Lucernę francuzką, oryginalną czystą i pewną.
Buraki pastewne olbrzymie.
Marchew olbrzymią białą i pomarańczową.
Groch duży biały Victoria.
Trawy i wszelkie rośliny pastewne.
Len olbrzymi Rygski.
Nasiona drzew szpilkowych i liściastych.
Nasiona Jarzyn, kwiatów, i wszelkich roślin gospodarskich z ostatnich zbiorów po miernych cenach poleca

GŁOWNY SKŁAD NASION
TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie.

Cennik odseła na żądanie franco.

CEMENT

Perlmoos-Portland,
utrzymuje
na składzie
li tylko
ARNOLD WERNER
we
Lwowie

Jedyna fabryka na całą Galicyę

założona w roku 1847

PASQUALE ZACCHI

we Lwowie, ulica Wałowa Nr. 2

poleca główny skład najnowszych figur z gipsu, stearynowej masy, cementu i marmuru po cenach najumiarkowańszych.

Przyjmuje zamówienia na ozdoby architektoniczne z gipsu, cementu, hydraulicznego wapna i drzewa w rozmaitych stylach podług podanych rysunków.

Zamówienia na prowincyę, uskuteczniają się w jak najkrótszym czasie, katalogi wysyła się na żądanie franco.

